OPOWIEŚĆ OSOBISTA O PROFESORZE JANIE JERZYM KARPIŃSKIM. CZĘŚĆ 3 i 4

OKRUCHY PAMIĘCI

WARSZAWA, WSPÓLNE WAKACJE

Jan Jerzy Karpiński (1896-1965) – przyrodnik, entomolog, pisarz, fotografik, pedagog. Wieloletni Dyrektor Białowieskiego Parku Narodowego. Honorowy Obywatel Białowieży.

CZ.3 WARSZAWA

NA KOPIŃSKIEJ

Po przeniesieniu służbowym do pracy w centrali Instytutu Badawczego Leśnictwa w Warszawie, Dziadek otrzymał przydział na mieszkanie służbowe na Ochocie, przy ulicy Kopińskiej. Do pracy w Instytucie, który mieścił się w przedwojennym jeszcze budynku przy obecnej ulicy Bitwy Warszawskiej 1920 roku, nie miał daleko: spokojnym krokiem, a Dziadek nigdy nie spieszył się, może 15, nie więcej niż 20 minut. Podróż do Dziadków stała się znacznie prostsza. W tamtych latach pociąg z Poznania pokonywał trasę do stolicy w około 6 – 8 godzin. I nie trzeba było nigdzie przesiadać się. Kontakty nasze jednak, wcale nie stały się częstsze, a chyba nawet odwrotnie. Przyczyną była szczupłość nowego mieszkania w Warszawie, choć niewątpliwie był to luksus w czasach, gdy stolica praktycznie wciąż leżała jeszcze w gruzach, po wojennych wyczynach niemieckich „nadludzi". Składało się ono z jednego tylko, niezbyt dużego pokoju, który był jednocześnie sypialnią i miejscem pracy Dziadka, całkiem za to sporej kuchni spełniającej także rolę jadalni, łazienki na tyle dużej, że Dziadek mógł urządzić sobie w niej ciemnię fotograficzną. Całość uzupełniał przedsionek. Mimo że w porównaniu z domem białowieskim, obecna powierzchnia mieszkalna była znacznie mniejsza, Dziadkowie nie narzekali. Zresztą nigdy nie słyszałem, by którekolwiek z nich narzekało na cokolwiek, a Babcia wręcz twierdziła, że dom w Białowieży i tak był dla nich o wiele za duży.

KIESZENIE OBFITOŚCI

Przyjeżdżając do Warszawy najczęściej wysiadaliśmy na stacji Warszawa Zachodnia. Stamtąd, poprzez morze ruin zniszczonej przez Niemców Warszawy, było widać dom przy ulicy Kopińskiej, w którym mieszkali Dziadkowie. Jeśli nasz przyjazd wypadał w niedzielę, można było mieć pewność, że na peronie będzie na nas czekał Dziadek. Ale niekiedy, także w środku tygodnia, Dziadek brał dzień urlopu, by spotkać nas i odebrać ze stacji. Dlatego, zanim jeszcze pociąg zatrzymał się, niecierpliwie wypatrywałem Go przez okno. Najczęściej był. Stał spokojnie na peronie, zawsze nieco przygarbiony, w swojej obszernej, jakby trochę za dużej marynarce i z jasną, letnią czapką na głowie lub, zależnie od pogody, w podobnie obszernym płaszczu i wielkim kapeluszu na wypadek deszczu. Stał bez ruchu i czekał. Moja młodsza siostra Maja i ja, podbiegaliśmy do Niego, witaliśmy się. Dziadek witał się z nami i nadal stał – czekał, aż podejdzie nasza Mama. Witał się z Nią i po krótkiej rozmowie, zaczynał się rytuał. Po iluś pobytach w Warszawie, dobrze wiedzieliśmy z siostrą, że Dziadek ma niezwykle interesujące kieszenie w marynarce i w płaszczu, zawsze wypełnione niedostępnymi na co dzień niespodziankami. Nauczeni, że niegrzecznie jest być natarczywym i przerywać dorosłym rozmowę, nic nie mówiąc, karnie czekaliśmy, aż zostaniemy ponownie „zauważeni". Przyciskaliśmy się jednak coraz bardziej do Dziadka. On, udając, jakoby nie wiedział, o co nam chodzi, lekko odsuwał się, a my po chwili, ponownie za Nim. W końcu padało sakramentalne: „nooo, zupełnie o czymś zapomniałem... gdzie ja to włożyłem?..." I Dziadek sięgał do kieszeni, wyjmując z nich, te niby „zapomniane" niespodzianki. Wiedział, co dobre i wiedział, co każde z nas lubi. Na powitanie zawsze miał w kieszeni przepyszną, żeberkowaną, z wafelkiem w środku, chrupką czekoladę wedlowską – „Manilla". Pamiętam, że jak sięgnął głębiej do kieszeni, to okazywało się, że były tam także inne pyszności, a z tych, które zapamiętałem, to czekolada „Jawa" w charakterystycznym opakowaniu z palmą i małym Murzynkiem, oraz produkowane do dzisiaj – „Danusie". Po odbyciu niezmiennie takiego samego rytuału powitania, spokojnie, nie spiesząc się, ruszaliśmy w stronę ulicy Kopińskiej, gdzie czekała na nas Babcia. I kolejne „niespodzianki"...

WARSZAWSKI DZIEŃ

Był trochę nudny. Rano Dziadek szedł do pracy, zawsze z wielką, skórzaną teczką. Zawsze też, przed wyjściem, Babcia podawała mu śniadanie. Niezmiennie, także później, do końca życia, obowiązywał „standard białowieski": zwykły chleb okrojony ze skórek, masło w charakterystycznej, do dziś istniejącej maselnicy, oczywiście biały ser i miód, jajka na miękko. Czasem, raczej wyjątkowo, jakaś wędlina. Mleko i herbata. Rano raczej nie należało Mu przeszkadzać i dobrze o tym wiedziałem, co nie znaczy, że nie mogłem być przy Nim. Zwłaszcza że do porannego rytuału należało także wypicie miseczki kwasu drożdżowego, który Babcia nastawiała poprzedniego dnia w „dochówce" kuchennej kotliny – wtedy, w domu przy ulicy Kopińskiej, były jeszcze takie. Tu miałem swoje dwie minuty: kwas bardzo mi smakował i piliśmy go razem. Druga porcja będzie pod wieczór, umieszana z koglem-moglem. Po śniadaniu Dziadek żegnał się z Babcią, mnie przykazywał słuchać Babci i szedł do Instytutu. Gdy Dziadkowie zamieszkali w większym mieszkaniu przy ulicy Hożej, jeździł też tramwajem, a w ostatnich latach życia, Dyrektor Instytutu przysyłał po Niego samochód służbowy. Gdy Dziadek wychodził do pracy, zaczynał się okres oczekiwania na Jego powrót. Nie było w Warszawie Parku Pałacowego, w którym mogłem zniknąć na pół dnia albo i dłużej. Nie bardzo było gdzie wyjść: dookoła Kopińskiej było wówczas morze powojennych ruin i jedna wielka budowa. Czas oczekiwania na powrót Dziadka mijał na przeglądaniu Jego książek, wszechobecnych zdjęć, oglądaniu pod mikroskopem preparatów, które przygotowywał specjalnie dla mnie poprzedniego wieczoru, strojeniem się w Jego odznaczenia. Miałem – nigdy nie cofnięty przywilej, używania, dotykania i bawienia się wszystkimi Jego rzeczami, pod warunkiem każdorazowego odłożenia w dokładnie to samo miejsce. Babcia ze swojej strony, przez cały dzień usiłowała „umilić" mi oczekiwanie na powrót Dziadka podsuwaniem co rusz coś nowego do zjedzenia. Najczęściej już następnego dnia po przyjeździe do Warszawy, miałem wszystkiego dość i nie byłem w stanie nic więcej przełknąć. Dlatego z chęcią, krótko po śniadaniu, wychodziłem z Babcią po codzienne zakupy do pobliskich sklepów, koniecznie do Hali Kopińskiej i na zieleniak w okolicy Placu Narutowicza: wtedy nie groziło mi kolejne „coś bardzo smacznego".

POWRÓT DZIADKA

Po południu Dziadek wracał z Instytutu. Nie pamiętam, by kiedykolwiek zostawał w nim dłużej, by tam dalej pracować. Witał się z Babcią, rzucał baczne spojrzenie w moją stronę i pytał Babcię, „jak sprawował się Przemek?" Odpowiedź Babci była niezmiennie taka sama: „znowu nie chciał nic jeść, zobacz jak on wygląda, sama skóra i kości! Terenia pewnie pomyśli, że go głodzimy...". Dziadek chyba dobrze znał te odpowiedzi, bo też niezmiennie kwitował: „daj pokój, Haniu, daj pokój! Jak zgłodnieje, sam poprosi...". Potem Babcia podawała Dziadkowi obiad do stołu. Sama, razem ze mną jadła go wcześniej, a ja czekałem, aż Dziadek skończy, zapali papierosa i puści pierwsze kółeczko z dymu. Wtedy zaczynał się MÓJ czas. A czas Dziadek miał dla mnie zawsze, podobnie, jak niczym niewyczerpaną wyrozumiałość. Nigdy nie widziałem, żeby był zdenerwowany lub choćby czymś zniecierpliwiony. Zawsze, nawet, gdy coś Mu wyraźnie nie podobało się, zachowywał spokój. Nigdy nie słyszałem, by mówił podniesionym głosem. Gdy coś zbroiłem, a przecież zdarzało się, wystarczyło jedno Jego spojrzenie, żebym wiedział, że więcej już tego nie zrobię. Wspólny czas trwał do wieczora. Upływał on na objaśnianiu moich pytać dotyczących tego, co wynalazłem w którejś z Jego książek, wspólnym oglądaniu preparatów lub gablot z owadami, które czasem specjalnie w tym celu przynosił z Instytutu. Wreszcie, wspólne wyjścia do miasta, od czego nie pamiętam, by kiedykolwiek stronił, mimo że sam, dopiero co, niedawno wrócił z pracy...

WĘDRÓWKI PO WARSZAWIE

Warszawskie spacery miały zupełnie inny charakter niż te wcześniejsze z Białowieży. Nie było tu Parku Pałacowego, Rezerwatu ani łąk nad Narewką, motyli, ptaków ani wiewiórek, a jedynym parkiem, do którego którejś niedzieli Dziadek zaprowadził mnie w Warszawie, były Łazienki. Wtedy pierwszy raz w życiu zobaczyłem Pałac Na Wyspie i cały zespół parkowo-pałacowy. Jednak głównym punktem programu w zamyśle Dziadka było coś innego: mianowicie, niedzielny koncert szopenowski na wolnym powietrzu. Dziadek uwielbiał operę, balet, muzykę poważną, a zwłaszcza muzykę Szopena. Rytuałem było zarówno w domu jak i później, podczas wspólnych wakacji, słuchanie wieczornych, radiowych koncertów szopenowskich. Była to bodaj jedyna sytuacja, kiedy raczej nie wolno było przeszkadzać Dziadkowi, a On oddawał się wyłącznie słuchaniu muzyki.

Najczęściej jednak, szlak Dziadka wiódł poprzez miejsca ważne w historii Polski. Wielokrotnie „przeciągnął" mnie Dziadek Traktem Królewskim, na warszawską Starówkę, pod ruiny zniszczonego przez Niemców Zamku Królewskiego, pobliskiej katedry św. Jana Chrzciciela i do kościoła św. Anny. Pamiętam, jak przechodząc koło licznych jeszcze, zawsze ukwieconych ścian straceń z okresu niemieckiej okupacji, przystawał milcząc. Kiedyś, gdy chyba trochę za bardzo kręciłem się, ściągnął mnie za rękę jak koniowi lejce i zmusił do zatrzymania. Wtedy chyba pierwszy raz poczułem, że jest to miejsce bardzo ważne. Było to obok kościoła Św. Jakuba Apostoła, u wylotu ulicy Barskiej na plac Narutowicza. W latach 70-tych XX wieku, gdy sam pracowałem w Instytucie Badawczym Leśnictwa, ściana ta, podziurawiona niemieckimi kulami, zawsze świeżo ukwiecona, stała nietknięta. Nie wiem, jak to miejsce wygląda dzisiaj i czy ktoś nadal pamięta...

Nasze wędrówki najczęściej były piesze. Ale Dziadek dobrze rozumiał, że dla małego chłopca, atrakcją może być przejazd tramwajem, taksówką albo kolejką warszawską, czy po prostu – kino. Na trasie jakoś nigdy nie zabrakło też sklepów firmowych Wedla, których było w Warszawie kilka, a w których zawsze znalazło się coś dobrego. Później, gdy zacząłem zbierać znaczki pocztowe, na trasie spacerów pojawiły się także sklepy filatelistyczne, w tym „najważniejszy", przy Placu Konstytucji, w którym Dziadek opłacił dla mnie abonament wszystkich nowo ukazujących się polskich znaczków pocztowych. Zresztą, Dziadek zawsze wspierał, a pewnie i dyskretnie ukierunkowywał moje zainteresowania, co znajdywało wyraz w charakterze szczodrze kupowanych dla mnie książek. Co ciekawe, wcale nie ograniczał się do robienia ze mnie „na siłę" przyrodnika, choć sam nim był. Wśród otrzymywanych od Dziadka książek, były oczywiście i przyrodnicze, jednak dominowała polska klasyka i książki historyczne z Ignacym Kraszewskim, Antonim Gołubiewem i Henrykiem Sienkiewiczem na czele. Opłacał też dla mnie prenumeraty pism, m.in. trudno osiągalnych „Poznaj Świat", „Wszechświat", z dziedziny fotografiki i innych, czy wspomnianych znaczków wraz z miesięcznikiem „Filatelistyka".

Po powrotach z takich, raczej długich spacerów, Babcia czekała w domu z tradycyjną i zazwyczaj skromną kolacją. Taką, jaką Dziadek zawsze i niezmiennie jadał: chleb, biały ser, niewielki kawałek wędliny, miód. Kolację często kończył deser w postaci jakiegoś ciasta domowego wypieku lub przysmak Dziadka, pieczone jabłka z cukrem. Nie zabrakło też rytualnego kręcenia kogla-mogla mieszanego z kolejną porcją nastawionego wcześniej w „dochówce" kwasu drożdżowego. Gdy już wszystko zniknęło ze stołu, był czas na rozmowy, opowieści i chwila „prasówki" – Dziadek uznawał wyłącznie „Życie Warszawy". Jeśli danego dnia był nadawany, to Dziadek słuchał koncertu szopenowskiego. Gdy już musiałem kłaść się spać na rozkładanej w jadalni „amerykance", widziałem jeszcze Dziadka siadającego do wieczornej pracy przy stole w sypialni i słyszałem stukot maszyny do pisania.

CZ.4 WSPÓLNE WAKACJE

Na wakacje Dziadkowie chętnie jeździli do Kudowy. Ale zdarzało się też, że jechali osobno, każde gdzie indziej. Babcia miała swój ulubiony kierunek i był to niezmiennie Ciechocinek, gdzie leczyła reumatyzm. Dziadek najczęściej w takiej sytuacji wybierał któryś z naszych Parków Narodowych, o jeszcze przedwojennych tradycjach ochrony: Świętokrzyski, czasem Wielkopolski, jednak głównie Ojcowski lub Pieniński. Wyjazdy te łączył ze swoimi poszukiwaniami entomologicznymi. Wówczas Dziadek brał nawet cztery z przysługujących mu sześciu tygodni urlopu i zabierał mnie ze sobą. Mieszkaliśmy zawsze na terenie Parku, najczęściej bezpośrednio w parkowych pokojach gościnnych lub w kwaterach rezerwowanych dla nas przez kierownictwo Parku. Były to moje najlepsze wakacje, lepsze nawet od kolonii i obozów z Rady Zakładowej Instytutu Badawczego Leśnictwa, na które co roku Dziadek wysyłał mnie i które też bardzo lubiłem. Rytuał pierwszego dnia wspólnych wakacji był zawsze taki sam: wizyta w najbliższym miejscowym sklepie i ku zdziwieniu sprzedawczyni, „hurtowy" zakup czekolady, w ilości jedna tabliczka na każdy dzień. Następne dni wypełniały przyrodnicze wędrówki po Parku, a Dziadek pilnował, żeby w moim chlebaku, obok obowiązkowych dwóch bułek z serem znalazła się także tabliczka czekolady. Gdy chciało mi się pić, piłem wodę ze strumienia, leśnej kałuży lub z jakiegoś napotkanego źródełka. I wciąż żyję...

W OJCOWIE

Tam właśnie byłem z Dziadkiem na wakacjach po raz pierwszy. Był to rok 1958, miałem wówczas 10 lat. Do Krakowa, gdzie spotkaliśmy się z Dziadkiem, dowiozła mnie z Poznania moja Mama. Dalej, do Ojcowa jechaliśmy już razem, autobusem. Mama pobyła z nami może dzień, może dwa, po czym wróciła do Poznania. I zaczęła się, jak mawiał Dziadek „laba". Tłumacząc to na dzisiejszy język – święty spokój. Zamieszkaliśmy na „Złotej Górze", w wielkim pokoju z jeszcze większym tarasem, w starej willi, letniej rezydencji któregoś z krakowskich, przedwojennego jeszcze mecenasa. Na posiłki chodziliśmy do sąsiedniej willi, innego krakowskiego notabla. I były to jedyne stałe i niezmienne punkty naszego pobytu, na które zapraszał rozchodzący się po całej „Złotej Górze", dźwięk gongu obwieszczający, że: „podano do stołu". Pomiędzy posiłkami, czasem nawet rezygnując z obiadu, trwały wędrówki

J. J. Karpiński. Zdjęcie pochodzi z książki „W Dolinie Orlich Gniazd", 1962.

**Przemko (Przemysław Szczęsny) z pawikiem.
Fot. J. J. Karpiński. Zdjęcie pochodzi z książki „W Dolinie Orlich Gniazd", 1962.**

po Ojcowskim Parku Narodowym i jego okolicy. Bardzo często towarzyszył nam, czuwający nad naszym pobytem, dyrektor Parku, Pan Roman Jasiński, przyjaciel Dziadka jeszcze z przedwojennej, wspólnej pracy w Białowieży. Bliższe odległości pokonywaliśmy pieszo – Dziadek był niestrudzonym piechurem, dalsze zaś parkową furmanką z woźnicą. Dziadek zbierał materiał do swoich badań entomologicznych. Czynił to zawsze i wszędzie, skrobiąc swoim scyzorykiem i wielkim okulizakiem po pniakach. Ale kompletował też materiał fotograficzny, do swojej kolejnej książki – „W Dolinie Orlich Gniazd". Wówczas pierwszy raz byłem świadkiem, jak powstawały Jego zdjęcia do książek i z dumą nosiłem za nim, wspominany już kliszowy aparat fotograficzny i statyw, dostępując też zaszczytu wyzwalania migawki przy pomocy dobrze ponad półmetrowego wężyka spustowego. Bardzo mi się to spodobało i chyba wówczas zaczęła się u mnie „inkubacja" wirusa fotografii. Zwłaszcza, że Dziadek niezwykle przystępnie objaśniał zasady optyki, zależności między przysłoną i czasem otwarcia migawki, co to jest głębia ostrości i jak ją regulować. Przy tym każdorazowo opowiadał o fotografowanym obiekcie, co należy fotografując uwypuklić i dlaczego właśnie wybrał ten obiekt, a nie inny i właśnie w takim ujęciu. Praca nad książką i kompletowanie zdjęć do niej, zapowiadały się na dwa, może trzy sezony wakacyjne i byłem bardzo szczęśliwy, gdy na zakończenie pobytu, Dziadek obiecał, że w przyszłym roku, znowu pojedziemy razem do Ojcowa...

„Jednego razu rozciągnąłem się po obiedzie na leżaku i przeglądałem obfitą tego dnia pocztę. Patrzę, wchodzi powolutku na balkon Przemko, trzymając rękę wyciągniętą przed siebie.
– Patrz, dziadku – odzywa się niemal szeptem. Przyglądam się i widzę, że na wierzchniej stronie dłoni Przemka siedzi... pawik! Opuścił skrzydła i przywarł nimi do ciepłej skóry.
– Siadł mi na rękę, kiedy zdejmowałem go z okienka. Sfotografuj mnie z nim!
– Dobrze – mówię – jeżeli nie odleci, to sfotografuję. Siądź ostrożnie na krześle.
Podniosłem się z leżaka i skierowałem do pokoju po aparat.
Po chwili słyszę szept Przemka: – Dziadku, pośpiesz się.
Spieszyłem, jak mogłem, chociaż z moim kliszowym aparatem na statywie i nastawianiem obrazu na matówce, to nie taka łatwa sprawa. Ledwiem trzasnął migawką, pawik szybkim ruchem złożył skrzydła, zrobił parę kroczków po powierzchni dłoni i rozwinął dotąd skręconą jak sprężynka ssawkę. Zaczął obmacywać nią skórę – spijać z niej mikroskopijne kropelki potu. Nagle Przemkowi drgnęła ręka. Pawik poderwał się i poszybował do ogródka na kwiaty.
– Załaskotał mnie ssawką po skórze! – wykrzyknął Przemko.
– Miałeś chłopcze szczęście –mówię. – Zdjęcie powinnpo być udane. Spójrzcie na fotografię – przekonacie się sami, że istotnie tak było."

J. J. Karpiński, fragment książki „W Dolinie Orlich Gniazd", 1962

PONOWNIE W OJCOWIE

Tak też stało się. Następnego roku znowu spotkaliśmy się w Ojcowie, zamieszkaliśmy w tym samym pokoju, w tej samej willi na „Złotej Górze". Dziadek kontynuował pracę nad książką „W Dolinie Orlich Gniazd", która ukazała się ostatecznie w roku 1962. Zasięg naszych codziennych wędrówek i wyjazdów znacznie zwiększył się, doszły wyjazdy na Pustynię Błędowską i do Krakowa.

Czasem dostawałem osobiste zadania do wykonania. Jedno z nich, które potem samodzielnie kontynuowałem przez kilka kolejnych lat, polegało na penetrowaniu upraw ziemniaków, w poszukiwaniu gąsienic największego polskiego zawisaka, zmierzchnicy trupiej główki. Ale nigdy jej nie znalazłem. Jednak Dziadek był bardzo zadowolony, gdy któregoś dnia przyniosłem z poszukiwań, trochę „dziwnego" pasikonika. Okazał się on – siodlarką. Jej zdjęcie trafiło potem do opracowywanej książki, a Dziadek obiecał, że w nagrodę za ten okaz, umieści w książce także moje zdjęcie. Tak też zrobił... [*zdjęcie poniżej]*

W Krakowie Dziadek spotykał się m.in. z Profesorem Władysławem Szaferem, człowiekiem niezwykle zasłużonym dla ochrony przyrody w Polsce. Tam wspólnie zwiedzaliśmy Wawel, oprowadzani przez samego Kustosza, Profesora Jerzego Szablowskiego. Wspólne zwiedzanie, zakończył wspólny obiad w słynnej restauracji „U Wierzynka", gdzie niezwykle smakowała mi i polubiłem ją na całe życie, fasola „Wielki Jaś"... Różni goście odwiedzali też Dziadka w Ojcowie, na „Złotej Górze". Gościem stałym, który odwiedzał nas każdego dnia, był Dyrektor Roman Jasiński. Przyjeżdżał też znany entomolog i leśnik, Profesor Stanisław Kapuściński i wymieniony już Profesor Władysław Szafer, inicjator utworzenia Ojcowskiego Parku. Któregoś dnia Profesor Szafer przyjechał z wizytą razem ze znanym fotografikiem, Włodzimierzem Puchalskim. Popołudniową rozmowę na tarasie zdominowała wówczas dyskusja o sprzęcie fotograficznym, której

uważnie przysłuchiwałem się, tym bardziej, że sam pragnąłem już wtedy posiadać własny aparat fotograficzny. Wtedy też, doznałem zaszczytu „dotknięcia" przywiezionego przez Pana Puchalskiego, jego służbowego aparatu: była nim, niezwykle cenna w tamtych latach EXAKTA VAREX, obiekt pożądania każdego fotografika. Później odtworzyłem, że był to model IIa z 1960 roku.Rozmowy z odwiedzającymi Dziadka gośćmi często przeciągały się do późnego wieczora. Często wtedy, wszyscy wspólnie, udawaliśmy się na kolację, którą niezmiennie organizował, niezastąpiony Dyrektor Jasiński.

Ale miewał też Dziadek innych gości. Była to przede wszystkim licznie przebywająca na Złotej Górze podczas wakacji młodzież, w wieku, powiedzmy, że od lat 3 do 23 i 103. Fama, że na „Złotej Górze" przebywa „Profesor z Białowieży od żubrów" rozeszła się po okolicy dość szybko, a i ja, Jego wnuk, z racji „upłynniania" wśród dzieciaków posiadanych nadmiarów czekolady, której miałem już serdecznie dosyć, cieszyłem się całkiem sporym prestiżem.

Wtedy Dziadek dawał poznać się jako niezrównany gawędziarz. Na dolnej kondygnacji willi, znajdował się wielki hall – salon, z ogromnym kominkiem, wokół którego rozłożone były skóry różnych biednych zwierzaków, upolowanych przez właściciela willi. Towarzystwo lokowało się na skórach i gdzie, komu przypadło wygodne miejsce. Ja miałem zarezerwowane miejsce na tygrysie. Potem „delegacja" udawała się na górę, do naszego pokoju, z zaproszeniem dla Dziadka, by, jeśli „Pan Profesor znajdzie chwilę czasu", zszedł do salonu i opowiedział coś ciekawego. Dziadek, zachowując „ceremoniał", po udawanym, krótkim zastanowieniu, „chwilę czasu" zawsze znajdował i po kilku minutach pojawiał się na wielkich schodach z ażurową balustradą, wiodących wokół ściany salonu, na górne piętro z pokojami gościnnymi.

Zatrzymywał się w połowie schodów, opierał o balustradę i zaczynał kolejny ceremoniał, przycinanie papierosa i nabijanie go w lufkę. Potem, powtarzało się to jeszcze kilkakrotnie w ciągu wieczora, w przerwach miedzy kolejnymi opowiadaniami. W tym czasie, poniżej trwały licytacje, co ma Dziadek opowiedzieć. W końcu Dziadek puszczał swoje kółka z dymu, wszyscy milkli i zaczynała się opowieść o Puszczy Białowieskiej i żubrach, o podróży do Buchary, Mongolii i Chin, o wyprawie na Syberię i do Japonii. Przez cały okres pobytu na „Złotej Górze", Dziadek temat do opowieści zawsze znalazł i słuchaczy też nigdy nie brakowało. Dorośli także przychodzili. Późnym wieczorem, gdy najmłodsi dawno już legli pokotem i posnęli na rozłożonych na parkiecie skórach, Dziadek kończył opowieść, przypominając, że jutro też będzie dzień i jeśli zechcemy i nas to nie nudzi, to znowu coś opowie...

W PIENINACH

Tam, w Krościenku nad Dunajcem, byliśmy w 1965 roku ostatni raz na wspólnych wakacjach. Przez cały miesiąc. Wspominam je z nieco mieszanymi uczuciami. Raz lub dwa, przyjechał w odwiedziny Profesor Stanisław Kapuściński z Krakowa. Było to spore poświęcenie z jego strony, bo podróż autobusem z Krakowa do Krościenka trwała 3 godziny, a przecież trzeba było jeszcze wrócić. Jednak Panowie Profesorowie lubili ze sobą dyskutować. Pokój obok, wraz z sąsiednim tarasem zajmowały wnuczka Profesora Szablowskiego z zawsze chętną do rozmowy ciotką, co Dziadek z uprzejmą cierpliwością, spokojnie znosił.

W tym czasie, Dziadek nie czuł się chyba najlepiej. Po nocach miał częste ataki bardzo silnego bólu. Mówił, że to zapalenie korzonków nerwowych. Żadnych zdjęć podczas tych wakacji nie robił, nie pamiętam, czy w ogóle zabrał ze sobą na ten wyjazd aparat fotograficzny. Ale planował nową książkę, a zdjęcia do niej, to ja właśnie miałem zrobić. Byłem już całkiem wyrośniętym, 17-letnim chłopakiem, rok przed maturą. Moje zainteresowania w tym czasie były już zdecydowanie przyrodnicze i wiedziałem, że w przyszłym roku, po maturze, przystąpię do egzaminów wstępnych na Wyższą Szkołę Rolniczą w Poznaniu. Ponadto, od kilku lat z nienajgorszym skutkiem, zajmowałem się fotografią i miałem, jak na nastolatka i na tamte lata, całkiem niezły sprzęt. Co dnia po obfitym śniadaniu i niezależnie od pogody, z aparatem, statywem i chlebakiem załadowanym osobiście przez Dziadka tradycyjnymi bułkami z serem i tabliczką czekolady, ruszałem w góry. Dziadek wyrobił mi w Dyrekcji Parku przepustkę na swobodne poruszanie się po całym jego terenie, włącznie z granicznym Przełomem Dunajca, całkowicie zamkniętym dla ruchu turystycznego, poza koncesjonowanymi spływami. Sam zaś, większość czasu spędzał wypoczywając na tarasie i w rozległym ogrodzie willi „Luna", w której mieszkaliśmy. Wróciwszy, zdawałem Mu dokładne sprawozdanie, co widziałem, jakie zdjęcia wykonałem, razem planowaliśmy, gdzie mam udać się następnego dnia. Jednak, co kilka dni, Dziadek też ruszał w góry i choć sam o laseczce, „przeciągał" mnie po takich stokach i wertepach, o których nawet nie pomyślałbym, żeby tam wchodzić. I dawał radę, podczas gdy to ja miałem serdecznie dosyć. Miał w tym jakiś swój ukryty cel, bo

Lipiec 1965, Pieniński Park Narodowy. Były to nasze ostatnie wakacje, cały miesiąc – w listopadzie Dziadek zmarł.
FOT. P. SZCZĘSNY

zatrzymywał się przy większości pniaków i cierpliwie wyskrobywał swoim okulizakiem coś spod kory, po czym wkładał do fiolek, których miał pełne kieszenie kurtki. Wtedy, na jednym z tych stoków, zrobiłem z samowyzwalaczem, jedyne nasze wspólne zdjęcie, niestety dość marnej jakości. Drugie, zrobił nam ktoś na tratwie, podczas spływu parkowymi łodziami przez Przełom Dunajca. Szkoda, że wtedy trzeba było oszczędzać każdą kliszę i klatkę filmu, bo mogło być tych zdjęć znacznie więcej...

OSTATNI RAZ

31 lipca 1965 roku, rozstaliśmy się na Dworcu Głównym w Krakowie: Dziadek odjeżdżał do Warszawy, ja czekałem na pociąg do Poznania. Wkrótce potem, chyba w październiku, Babcia telefonowała do Mamy mówiąc, że „Ojciec obłożnie chory, leży na badaniach w szpitalu". Pojechaliśmy do Niego. Leżał w „pojedynce" w Szpitalu Praskim. Gdy Babcia i Mama wyszły, zostałem z Nim jeszcze chwilę. Rozmawialiśmy o zdjęciach i o minionych wakacjach. Umawialiśmy się na kolejne...

W NOCY

17 listopada 1965 roku, obudził nas telefon. Telefonowała Babcia, z wiadomością, że Ojciec i Dziadek nie żyje....

PRZEMYSŁAW SZCZĘSNY
WNUK PROFESORA JANA JERZEGO KARPIŃSKIEGO